



Pierwsze, spontanicznie rodzące się pytanie po lekturze opisu uzdrowienia dziesięciu trędowatych jest następujące: W jaki sposób Jezus może i pragnie uleczyć mnie z mojego trądu? Ale zanim spróbuję to medytować, najpierw muszę sobie uzmysłowi, co stanowi odrażającą chorobę, która sprawia, że inni nie chcą się do mnie zbliżyć, wolą mnie unikać i omijają z daleka? Jakie postawy, jakie czyny i jakie zachowania są tą śmiertelną chorobą, której nikt nie może uleczyć, jak tylko Bóg? Szukając odpowiedzi, najpierw pojawia się wątpliwość: przecież wcale nie muszę być trędowaty, może w moim życiu wszystko jest w miarę w porządku? Po co zaraz oskarżać się, jeśli nie widzę ku temu żadnych konkretnych powodów? Ale samo dopuszczenie podobnej hipotezy sprawia, że „czuję się nieswojo” wobec Słowa: „Nie potrzebują lekarza zdrowi, lecz ci, którzy się źle mają. Nie przyszedłem powołać sprawiedliwych, ale grzeszników.”

Na pewno zostałem powołany, na pewno potrzebuję Chrystusa. Dlatego zakładam, że nawet jeśli wydaje mi się, że wszystko jest w porządku, to muszę dokonać rewizji tych przekonań i uznać, że problem tkwi w mojej ślepcie. Dlatego powracam do pierwszego pytania, które brzmi: jaki jest mój trąd? Na pewno jest to egocentryczne szukanie samego siebie. Pragnienie bycia zauważonym, docenionym, skuteczniejszym niż inni, okazania się mądrzejszym w obliczu trudnych problemów, posiadanie racji w sytuacjach konfliktowych, zawsze opowiadanie się po najślusniejszej stronie, itd. Nie chodzi wcale o to, że mam się nieustannie mylić, itd. Chodzi o to wewnętrzne pragnienie, zrodzone z ducha rywalizacji, żeby okazywać się „lepszym”, żeby wygrywać nawet wówczas, kiedy nikt nie rzucił żadnego wyzwania. Taki jest pierwszy wymiar trądu.

Drugi natomiast jest ukrywany za woalem dobrych czynów, bezinteresownych wysiłków, poniesionych poświęceń. Jest to duch, a raczej trzeba go nazwać „demonem świętego spokoju”. Poświęcam się, staram się, wysilam się, żeby w końcu oddać się „błogiemu nieróbstwu”, „zasłużonemu odpoczynkowi”, „ulubionemu hobby”, „pochłaniającej pasji”, czy jak tam chcecie to nazwać. Ale zawsze chodzi o to samo. Skoncentrowanie się na sobie, na swoich potrzebach. Taka postawa jasno ukazuje, że mamy mentalność faryzejską, mentalności zasługiwania na nagrodę. Kiedy docieramy do pewnego poziomu wysiłku, mówimy sobie „stop, tyle wystarczy, teraz mogę w końcu zrobić coś dla siebie”, a prawdziwy sens tej postawy brzmi: dość się już „napoświęcałem”, teraz mogę być egoistą w zarządzaniu moim czasem, pieniędzmi, wysiłkami. Paskudny trąd, który pokazuje, że nie dokonała się najważniejsza metamorfoza chrzcielna, nie umarliśmy dla grzechu, wciąż żyjemy dla siebie, a nie dla Boga.

Miłość, kochanie, czyli czynienie daru z siebie jest przykrym obowiązkiem, a nie naszą naturą. To dlatego inni mają trudność, żeby się do nas zbliżyć „poza wyznaczonymi godzinami przyjęć”.

Dlatego pytanie o to, co mam robić, jest fundamentalne. Ewangelia ukazuje trędowatych, którzy krzyżując, błagają o litość, ale za tym krzykiem kryje się zdobyta doświadczeniem pewność, że nikt inny poza Bogiem nie może im przyjść z pomocą. Terapie, grupy wsparcia, treningi, pielgrzymki, nowenny – to wszystko na nic, jeśli nie nastąpi fundamentalny akt powierzenia się Bogu: tylko Ty możesz mnie uleczyć! A Jezus odpowiada na wołanie trędowatych w dziwny sposób: pokarzcie się kapłanom. Czyli zróbcie to, co jest przewidziane dla tych, którzy doznali uzdrowienia. Ale przecież jeszcze się nic nie dokonało! Żadnego gestu, żadnego słowa, nic tylko: „Idźcie wypełnić to, co Prawo nakazuje uzdrowionym.” Czyżby Jezus chciał mi powiedzieć, że szczerze błaganie tego, który jest pewien, że nie otrzyma już z nikąd pomocy i całą ufność składa w Bogu, jest już modlitwą wysłuchaną?

Ale jest też drugi etap tego procesu. Widzimy dziesięciu uzdrowionych, ale tylko jednego zbawionego. Tylko jeden uznał osobową interwencję Boga. Tylko jeden dostrzegł, jak Bóg wkroczył w jego życie, by go uratować. I ten jeden doświadczył zbawienia, nowego życia. To nie uzdrowione ciało jest źródłem szczęścia dla człowieka chorego, ale odnalezienie bliskości Boga, odnalezienie Jego obecności w aktualnie dziejącej się historii. Zanurzony w „medialnie stwarzany” świat ja także zaczynam patrzeć na historię, jako wyłączny owoc działania człowieka. Rozbudzanie mojego egocentryzmu przez media sprawia, że im bardziej wsłuchuję się w rytm życia świata, tym bardziej staję się wyznawcą „samo zbawienia”. To nie Bóg działa w swoim miłosierdziu, ale to ja moimi wysiłkami, także tymi pobożnymi, modlitwami, czy innymi aktami, zdobywam miłość Boga.

Szukamy diabła w czarnej magii, a on siedzi sobie cichutko na progu świątyni i „sprzedaje” drobne pochlebstwa, wmawia wewnętrzne piękno niedostępne dla innych, nadzwyczajną pobożność, która jest owocem ciężkiej pracy i poniesionych trudów, i zachęca do „sprawiedliwego osądzania” bliźnich, którzy nie chcą ponosić tak samo wielkich wysiłków „dla Pana”. Jest to droga dziesięciu uzdrowionych, którzy odnaleźli zdrowie, ale nie znaleźli Zbawiciela. Dlatego bycie cudownie uzdrowionym wcale nie oznacza wkroczenia w nowe życie, w życie wieczne. Nawet jeśli takie uzdrowienie poprzedzone jest wielkim cierpieniem i gorącą modlitwą. Życie wieczne zaczyna się bowiem w momencie spotkania, poznania Tego, Który nas zbawia. Nie mogę nie zacytować Jana: „A to jest życie wieczne: aby znali Ciebie, jedyne prawdziwego Boga, oraz Tego, którego posłałeś, Jezusa Chrystusa.”

Dlatego wcale nie myślę, że najważniejszą rzeczą jest szukanie uzdrowienia z mojego trądu. Najważniejsze jest bowiem znalezienie Zbawiciela i całkowite oddanie się Jemu w najwyższym

akcie wdzięczności, czyli w pragnieniu całkowitej komunii z Nim. *Panie nie pozwól, abym szukał darów, nie szukając ich Dawcy i nie daj mi, abym cieszył się z otrzymanych łask nie pragnąc być przy Tobie, by oddawać Ci chwałę.*

ks. Maciej Warowny, Francja